

A close-up photograph of a black and tan dog, possibly a terrier mix, lying down on a light-colored, textured surface like a rug or blanket. The dog's head is the central focus, with its dark eyes looking slightly to the left. Its fur is predominantly black with tan markings around the eyes and on its muzzle. The lighting is soft, coming from the upper left, creating a gentle glow on the dog's face and the surrounding surface.

*Andrzej Juliusz Sarwa*

# *Barry*

*opowiadania o psach*

Andrzej Juliusz Sarwa  
BARRY OPOWIADANIA O PSACH



Andrzej Juliusz SARWA

# **BARRY**

## **OPOWIADANIA O PSACH**

Armoryka  
Sandomierz 2018

[Kup książkę](#)

Tekst i projekt okładki: *Andrzej Sarwa*

Korekta: *Zespół*

Copyright © 2018 by Andrzej Juliusz Sarwa  
& Wydawnictwo „Armoryka”

Wydawnictwo ARMORYKA  
ul. Krucza 16  
27-600 Sandomierz  
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-639-1

[Kup książkę](#)

## Azor

**S**tary człowiek wyblakłymi oczyma wpatrywał się gdzieś w jeden punkt. Był jakby odcięty od reszty świata, którego częstką już się chyba nawet nie czuł. Trwał, bo trwał, lecz z owego trwania tak naprawdę nic nie wynikało. Niby miał wyjście, skończyć ze sobą, lecz w rzeczywistości nic by ono nie zmieniło, niczego nie naprawiło. Więc czy tak, czy inaczej trwał – z tym kamieniem niemal rozniciającym mu duszę, w jakiejś stężącej rzeczywistości, zamrożonej chwili bólu, z którym nie umiał sobie poradzić. Nijak. W żaden sposób.

Nie patrzył na mnie, kiedy, jakby mimochodem, zadał pytanie:

– Panie, jak pan myślisz? Czy cierpienia zwierząt mają jakikolwiek sens?

Wzruszyłem ramionami, bo nie wiedziałem, co mógłbym mu odpowiedzieć, a on najwyraźniej nie czekał na moją opinię i zaczął mówić. Początkowo

cicho, monotennie, by dopiero z czasem snuć opowieść z większą ekspresją.

– Było widne jeszcze późnojesienne popołudnie. Jakoś tak chyba pod koniec listopada... A może był to już grudzień? Pierwsze dni? Miałem jakieś piętnaście-szesnaście lat... Może rok mniej, może rok więcej... już nie pamiętam... Było szaro i ponuro. Nad ranem poproszył pierwszy tegoroczny śnieg, który teraz, mimo dojmującego zimna, jednak powoli się roztopiał.

Wracalem ze szkoły do domu i naraz ze śmietnikska sąsiedniego domu doleciało mnie żalosne skomlenie psiaka. Podeszedłem do płotu i wtedy go zobaczyłem. Małe ciało, pokryte białą, brudną sierścią, taką surową, skudloną, widać, że nie głaskaną, drżące od chłodu. I te ciemne... ciemnoorzechowe ślepka wpatrujące się we mnie prosząco. A i wylęknione ponad wszelką miarę też. Szczeniak zamilkł na chwilę, a potem znów raz czy dwa zaskomlił cichusko.

Pobiegłem do domu: „Mamo, mamó, na śmietniku obok jest szczeniak, mogę go przynieść do domu?” Kiwnęła głową na zgodę. To miał być mój pierwszy w życiu pies!

Wróciłem czym prędzej, wyciągnąłem rękę ponad dość niskim płotem zbitym z prostych, heblowanych, ale już poszarzałych od słońca i wiatrów sztachet, a on – mała bezradna kuleczka, podpełzł do

niej, sunąc niezdarnie po tym wierzchołku okazałej sterty śmieci. Uniosłem go za skórę na karku, wziąłem na ręce i zaniósłem do domu.

Po co go brałem? Nie wiem. Dziś żałuję... taki odruch... ale nic poza tym... taki – panie – odruch...

Przez zimę nie było łatwo. Pies brudził, trochę dokuczał, ale też i rósł. My przyzwyczajaliśmy się do niego, a on do nas.

Zdawało mi się, że chyba chciał mnie pokochać, ale ja, panie, jakoś nie odwzajemniałem tych jego pragnień. Zresztą nikt z domowników ich nie odwzajemniał. Pies rósł i serce mu dziczało. Bo tak to już bywa, czy to z człowiekiem, czy ze zwierzęciem, że nieodpłacone uczucie sprawia, że serce dziczeje...

Ale on mnie i tak kochał. Bezinteresownie, po psiemu. Chociaż rzadko bywałem w domu. No bo szkoła, koledzy... Lecz kiedy wracałem, przychodził mi do kolan i podstawiał łeb do głaskania. Tyle że ja go zbywałem. Odchodził więc i kładł się gdzieś nieopodal z łbem ułożonym na wyciągniętych łapach wpatrzony we mnie... Miał nadzieję... Wtedy tego nie rozumiałem... a dziś już, panie, za późno...

Azor... nazwaliśmy go Azor... Nie jakoś tam wymyślnie, ale tak najzwyczajniej... Do wiosny wyrósł na sporego kundla, w którego żyłach musiało pły-

## Barry

Słońce powoli kryło się za horyzontem, upał ze-  
lżał, choć od nagrzanej ziemi wciąż czuć było  
ciepło. Na zadaszonej werandzie domku letnisko-  
wego, przy plastikowym owalnym stole nakrytym  
wzorzystym, w nie najlepszym smaku, tanim obru-  
sem, nabytym zapewne w jakimś supermarkecie,  
siedziały cztery osoby, dwie młode, wyglądające na  
jakieś trzydzieści – trzydzieści dwa lata kobiety  
i dwóch mężczyzn, tak na oko o jakieś pięć lat star-  
szych od pań.

Panie plotkowały o strojach, kosmetykach, ob-  
gadywały koleżanki, panowie pilnowali grilla, na  
którym odymiała się karkówka, kaszanka, kiełbasa  
nadziewana jakimś świństwem, dwie marchewki,  
dwa ogórki przekrojone wzdłuż, no i jeszcze pla-  
sterki cukinii, bo cukinia musiała być! Cukinia była  
„trendy”. Te ostatnie „frykasy” były przeznaczone  
dla kobiet, no bo przecież musiały dbać o linię!

Na świeżo wystrzyżonym trawniku, nieopodal tujowego nieformowanego żywopłotu leżał pies. Cudny kundel, dość mocno kudłaty, z okazałym czarnym nosem i takiej samej barwy pyskiem, niezbyt dużymi, odrobinę filuternie zmrużonymi ślepkami lśniącymi niczym starannie wypolerowane kawałki bursztynu. Uszy miał ciemnobrązowe klapnięte, czoło i policzki zaś, aż po nos, podpalane, szyję i barki otaczała mu kryza z popielatej, upstrzonej beżowymi plamkami sierści. Uśmiechnięty pysk natomiast odsłaniał rząd białych zdrowych ząbków. Grzbiet miał prawie czarny, brzuch i ogon zaś jasnobieżowe.

Kiełbasa na ruszcie zaczęła skwierczeć, pies zwęszył jej charakterystyczny zapach i przełknął ślinę. Uwielbiał, kiedy jego ukochany pan rozpalał grilla, bo zawsze, gdy już wszyscy zjedli, co mieli zjeść i wypili, co mieli wypić, coś tam z resztek, jakieś niedojedzone kawałki dostawał. Nie żeby było to szczególnie smaczne, ale dawał mu je jego pan! I to się dla Barriego przede wszystkim liczyło.

– To co Marcin? Urlop? – z pytaniem do gospodarza zwrócił się popijający piwo wprost z puszkii jego kolega.

– Nareszcie, Olek, nareszcie!

– To dokąd się wybieracie? – Olek drażył temat.

– A nie zgadniesz!

– Do Zakopca?

Marcin przecząco pokręcił głową.

– Nad morze?

– Można tak powiedzieć.

– To gdzie? Do Jastarni? Jak zeszłego roku?

Marcin pogardliwie wyduł wargi.

Olek przenikliwie świdrował go zmrużonymi oczkami.

– No nie, nie mów, że...

– Właśnie! Spełnię marzenie Iwony!

– Na Kanary? Nie mów?! Na Kanary?!

– Na Kanary, chłopie. Właśnie! Stać nas!

Olkowi zrzęda mina. Upił kilka drobnych łyków piwa i siedział milcząco.

– A właściwie to dlaczego ty tego piwa nie nalesz sobie do szklanki? Jak kulturalni ludzie?

– Bo tak lubię. A co? Nie wolno? Przymus jakiś, żeby ze szklanki?

Marcin wzruszył ramionami i nie odpowiedział.

– Barry! – zawołał w końcu. – Barry, chodź tu! – Klepnął się w kolano.

Pies w kilku susach był przy nim, wsparł się łapami o krawędź krzesła i usiłował polizać mężczyznę po nosie. Ten trzepnął go otwartą dłonią w łeb i Barry potulnie usiadł, a potem położył mu się u stóp, od czasu do czasu tylko podnosząc oczy i z miłością zerkając na twarz Marcina.

Panie na jednorazowe kartonowe talerzyki nałożyły odymione i rozparzone kawałki kielbasy i po sporym płacie karkówki. Podały plastikowe sztucce.

– To nie będziecie jadły tej marchewki? – kpiąco zapytał Olek.

– Będziemy, będziemy, tyle że z piwem się nie komponuje – odparła Iwona.

– Jak to z piwem? To ty masz zamiar pić piwo?

– A czemu nie? Najwyżej pół szklanki. Na smaka.

– To kto będzie prowadził?

– Ja. A bo co?

– Po piwie?

– Oj tam, oj tam. Zanim się stąd ruszymy, to wszystko ze mnie wyparuje.

Zabrali się za jedzenie, od czasu do czasu rzucając jakieś resztki Barriemu. A pies był wniebowzięty. Jego serce przepętniała miłość do Marcina. Bezinteresowna, wcale nie za te ochłapy karkówki i niedogryzki kielbasy, ale za to, że był *jego* psem, a on *jego* panem...

– A kiedy wy będziecie urlopować? – Marcin zwrócił się z pytaniem do Olka.

– My? A dopiero w połowie września.

– To wiesz co?

– Co?

– Może byście wzięli do siebie Barriego na te dwa tygodnie, jak nas nie będzie. Co? Postawię ci za to wiskacza. Co?

Olek wzruszył ramionami.

– A niby czemu? Co mnie obchodzi twój pies. Wiesz, że nie lubię psów, a Gośka się ich boi.

– Jakoś tego nie widać – odparł Marcin i wskazał głową na Goškę, która akurat ciągnęła Barriego za uszy, a on z uśmiechniętym pyskiem lizał ją po rękach.

Olek wzruszył ramionami. Rozmowa wyraźnie się już nie kleiła. Gdyby nie ta zazdrość, którą poczuł, dowiedziawszy się o urlopie na Kanarach, to może by i przygarnął Barriego, ale tak? Stać ich na taką drogą wycieczkę, to niech sobie do psa kogoś wynajmą, albo oddadzą gdzieś do schroniska na przechowanie. Podniósł się gwałtownie z krzesła.

– Gośka, idziemy!

– Już? Jeszcze młoda godzina, jutro niedziela...

– Idziemy.

Nie oglądając się za siebie, ruszył w kierunku furtki.

– Co go ugryzło? – zapytała Iwona.

– A bo ja wiem?... – odparła Gośka. – No to się trzymajcie. Cześć. Do następnego!

– Pa! Do później! Zadzwoń!

\* \* \*

– Mamo... – Marcin nie bardzo wiedział jak zacząć. – Mamo...

## Drzewo i kundelek

**B**ył upalny dzień, zapyloną drogą wijącą się gdzieś hen, daleko, w stronę horyzontu, wędrowało dwóch mężczyzn. Niby podążali w tym samym kierunku, niby szli blisko siebie, ale przecież nie byli towarzyszami podróży. Od czasu do czasu tylko jeden z nich łypał na drugiego złym okiem, wędrowali jednak w milczeniu.

Słońce prażyło niemiłosiernie, jakby chciało świat spopielić, cała przyroda dyszała ciężko, ale na tych dwóch nie widać było najmniejszego nawet śladu zmęczenia. Kiedy jednak spotkali spory zagajnik starodrzewu, zboczyli z drogi i weszli w jego mroczną głąb, aby postronny obserwator mógł uznać, że nie do końca tak jest i że jednak szukają cienia, a w cieniu wytchnienia i ulgi. Wędrowcy nie zwolnili jednak tempa marszu i nadal stawiali pewne, długie kroki, jakby doskonale wiedzieli, dokąd mają dotrzeć. I wreszcie dotarli. Dotarli do polany zarosłej trawą i ziołami, na któ-

rej środka rośło samotne drzewo. Było jeszcze dość młode, ale piękne, wysmukłe i z wyglądu krzepkie.

Pierwszy z wędrowców, ten, który przez cały czas trzymał się lewej strony drogi, zbliżył się do niego, ogarnął je pieszczotliwym wzrokiem, pogłodził chropawą korę i wyrył na niej znak trójkąta, tak jakby brał je w posiadanie i cechował swoim znamiem. Może planował później je wyciąć i wykorzystać do czegoś? Pewnie tak było.

Kiedy pierwszy z wędrowców odszedł, a jego sylwetka zagubiła się gdzieś pomiędzy pniami starodrzewu, drugi mężczyzna, ten, który wcześniej trzymał się prawej strony drogi, stojący dotąd z boku, teraz podszedł do pnia, ogarnął go smutnym wzrokiem, objął ramionami, dłonią przesunął po znaku trójkąta, który pod tym dotykiem znikł, a na koniec ukląkł, skłonił głowę i wsparł się czołem o szorstką korę. A wtedy listki na drzewie poczęły drżeć, jakby w przeczuciu zbliżającej się burzy...

W końcu i drugi z wędrowców dźwignął się na nogi i ruszył w tę samą stronę co ów, który pierwszy się oddalił... a po paru chwilach i on jakby rozsunął się wśród kolumnady pni...

Niebo się zmroczyło, gwałtowny podmuch wicheru raz i drugi szarpnął konarami samotnika rosnącego na środku polany, strącił z nich dobrą przy-

garść liści, zakręcił nimi w jakimś szalonym wirze,  
a potem ustał i ucichł...

\* \* \*

– Spójrz synu, jakie zgrabne drzewo! Zetnijmy je, będą ze dwie belki na powalę domu. Tyle że jedna dłuższa, a druga krótsza, więcej się z tego nie wyciosa.

Słowa te wyrzekł stary brodaty, posiwiały i już lekko przygarbiony od znoonej, ciężkiej roboty, choć w miarę krzepki jeszcze mężczyzna, dźwigający ciesielską siekierę. A skierował je do towarzyszącego mu wysokiego, z wyglądu silnego i nad wyraz proporcjonalnie zbudowanego młodzieńca, który tak na oko mógł mieć jakieś 20-23 lata, który niósł piłę. Taką zwykłą, dwuchwytową, o potocznej nazwie „moja, twoja”.

– Nie – ono jeszcze nie dojrzało, jeszcze nie nadszedł jego czas. Drzewo tylko tak dorodnie wygląda, ale jak się je ociosze, zesłabnie i nie udźwignie tego ciężaru, jaki ma się na nim utrzymać. Niech jeszcze pożyje...

\* \* \*

Gdy drzewo dojrzało, to ścięto je i z grubsza oczyszczono. Konary i drobniejsze gałązki zebrano

w stos i spalono, iżby wiatr, rozwiawszy popiół, użyźnił dookolną glebę. A potem smukły pień powieszono do warsztatu cieśli.

Nie był to już ten warsztat, co jeszcze przed kilku laty, stary majster bowiem umarł, a młody w pojedynkę nie mógł brać tylu zleceń, ile ich brali we dwóch. Zresztą młody postanowił rzucić ciesielkę, nie była ona bowiem jego misją, a było nią coś zgoła innego...

Kiedy przywlekli mu ten pień i wyprzęgli suchotniczego, zabiedzonego konika, który go z trudem przyciągnął, młody cieśla najpierw, jakby na przywitanie, lekko dmuchnął szkapinie w chrapy, niezwykle delikatnie i czule pogłodził ją po nich, przytulił swój policzek do łba zwierzęcia, poklepał je po szyi i zwrócił się do stojącej nieopodal wyglądającej na jakieś czterdzieści kilka lat kobiety:

– Mamo, bardzo cię proszę, przynieś trochę miodu. Tego, co to już się zestalił i stwardniał. Odłup go nieco, ale nie skąp, daj tak od serca, dobrze?

Sam zaś nadal głaskał konia i szeptał mu coś do ucha. Matka przyniosła spory kęs zbrylonego miodu. Podziękował jej spojrzeniem.

– No, staruszk, skosztujże jakie to pyszne, podetknął koniowi słodką i wonną bryłkę pod sam pysk.

A ów wziął ją delikatnie aksamitnymi wargami i przez jakiś czas międlil językiem, jakby rozkoszując się smakiem, aż w końcu przełknął.

– Smaczne było, staruszkule? Pewnie nigdy czegoś takiego w swoim smutnym życiu nie próbowałaś...

Koń jakby rozumiejąc, zarżał cichusko.

Zobaczywszy to czarny kot i rudawy pies popędziły teraz na wypródkę, kot, by otrzeć się o nogi młodego cieśli, a pies, by podstawić mu łeb do pogłaskania, bo każdy chciał dostać swoją porcję czułości.

– No już, już, wystarczy – mówił cieśla, ale nie odmawiał im pieszczot.

A kiedy zwierzęta wreszcie odbiegły, każdy w swoją stronę, zwrócił się do ludzi, którzy dostarczyli mu surowy pień drzewa.

– To już ostatnia robota, jaką biorę. Następną zlećcie komuś innemu.

– Ale ty jesteś najlepszym cieślą na całą okolicę!

– To już ostatnia robota, jaką biorę – powtórzył dobitnie. – Powiedzcie mi tylko, co mam zrobić z tego pnia?

– Gładko ociosaj w kant, podziel na dwie części – dłuższą i krótszą, wyżłób zakłady na poprzeczne łączenie... tyle...

– Zatem mam zrobić... krzyż?...

– Właśnie...

\* \* \*

## Spis treści

|                   |    |
|-------------------|----|
| Azor              | 5  |
| Barry             | 12 |
| Drzewo i kundelek | 35 |